POWIEŚĆ i NOWELA

Rok XIX Warszawa, dnia 24 Grudnia 1927 roku Nr. 52

ANDRZEJ STRUG

15) UCZTA ZWYCIĘSTWA

— Panie pułkowniku, to chyba więcej, niż jedna chałupa — straszna łuna!

— Szarża inspekcyjna do paki! Panowie z trzeciego szwadronu jeszcze tu? Na koń! Braun, jazda mi na miejsce w karrjerr!

Puzo z jednego gniewu wpadł w drugi. Korzystając z zamieszania, błogosławiąc ten cud z pożarem, mały strzelec wycofał się gdzieś i znikł. Cały dom zahuczał, zadudnił basem pułkownika, krzyżowały się przekleństwa, rozkazy, wszystko, co tylko jeszcze trzymało się na nogach, wywaliło się na dwór. Uśpiony zastępca szefa sztabu grupy dźwignął ze stołu ciężką głowę i łypał błędnemi oczami.

— Jezus, Marja... Co jest?! Dlaczego alarmuje pan pułkownik?

— Dobranoc, panie pułkowniku, to narazie jeszcze nie bolszewicy — zahuczał nad nim rozjątrzony Puzo i łomocąc butami o podłogę, która wyginała mu się pod nogami, obijając się o ściany i klnąc, wytoczył się na dwór.

Gwiazdy iskrzyły się na ciemno - granatowem niebie, była ich moc nadmierna, a wszystkie staczały się naukos, spływając z nieba łagodnie, jak spokojny grubo - płaciasty śnieg. Zdumiony tem straszliwem zjawiskiem, cofnął się, stanął we drzwiach i bał się wychylić głowę na dwór. Mroźne powietrze uderzyło weń i w jednej chwili pogrążyło go w ciężkim i gęstym zamęcie. Z niezmiernym trudem, instynktem i rutyną starego praktyka w pijaństwie, wydzierał się z tumanu i rozpaczliwie dążył do jakiegoś nikłego światełka, które pełgało mu jeszcze w dalekim zakamarku głowy. Niezmierne odległości, dzielące go od tego źródła wiedzy o sobie i o całej reszcie, wypełnione były odmętem wydarzeń, nastroszonych w zwały, zasieki i barykady nie do przebycia. Roiły się tam rzeczy wczorajsze i sprawy z przed dziesięciu lat, wszystko przemieszane ze sobą w nieładzie. On sam był tu gruntownie nieobecny, a gdy przy najwyższym wysiłku zjawiał się na sekundę, był coraz to innym: młodzieńczym kornetem, komendantem szwadronu, bohaterem z pod Czernowiec... Przylatał z najdalszych czasów, ze stanicy Uszajskiej, z okopów nad Stochodem, z klubu brygady w Wielkich Łukach, gdzie raz w nocy podczas balu pułkowego zapaliły się drewniane łaźnie.... Zjawiał się i natychmiast ginął w oczach, a gwiazdy spadały wciąż, sypały się jak z upustu na nieszczęsną okolicę, hen, poza las... Ziemia trzęsła się pod nogami, belki chałupy skrzypiały mu groźnie nad głową...

— Jeżeli to koniec świata... To i wszystkiemu koniec... Gospodi pomiłuj... Gospodi pomiłuj.... Gospodi...

I pułkownik odepchnięty od ściany, podważony od dołu, gdyż cały dom już walił się na niego, ukląkł ciężko i rozpostarł się krzyżem w ostatniej modlitwie.

* * *

Poza lasem rozlewała się szeroko mętno - purpurowa łuna, barwiąc krwawo niski pułap chmur, które czarną nawałą ogarnęły tę stronę nieba. Zdawało się, że to gdzieś niezmiernie daleko, ale przeważało zdanie, że to jednak nic innego, jak właśnie Taraszkiewicze. Panowie z trzeciego szwadronu odjechali byli, jak tam który mógł, prócz jednego podporucznika Szpilewskiego, który po wielekroć wsadzany na koń, zsuwał się natychmiast i zasypiał i żadną miarą nie można się go było dobudzić. Reszta łaziła po gościńcu przed chałupą majacząc bezładnie. Jedni bawili się wspaniałym i posępnym obrazem pożaru, inni, porozpinawszy kurtki, chłodzili się z rozkoszą na zimnie, niektórzy zaś już umykali przed mrozem do izby i zwoływali się, żeby się napić na rozgrzewkę. Tak prowadząc się pod rękę i zmierzając do izby, dwaj przyjaciele, nikomu nieznani kapitanowie, potknęli się o coś w ciemnościach i przewalili się, nie wypuszczając się z objęć.

— Kto tu leży u djabła wpoprzek drogi?

— Kolego, zbierzcie siły i do chaty, bo zapalenie płuc pewne... Czyż nikt nie pomoże nieszczęsnemu?

Dźwigali go w sześciu, przeszkadzając sobie, zataczając się, wreszcie przed samym progiem zwalili się na jedną wielką kupę, przytłaczając nieszczęśnika. Długo gramolili się wśród śmiechów i krzyków i dopiero zmacał któryś szczeciniastą brodę, inny zwrócił zdumioną uwagę na olbrzymie łapcie. Chłop był już zimny i sztywny, jak drąg.

— Co to jest?!

— Naprawdę umarł, psiakrew — no, patrzajcież!

— Też sobie wybrał porę i miejsce...

— A to dopiero kawał! Hahaha!...

— Ej, jest tam który? Zabrać to i odciągnąć na bok! Szamuraj, co za porządki?!

Plutonowy Szamuraj błysnął zapałką, zaklął i wraz z dwoma ordynansami powlekli trupa za nogi. Chłopina był lekki, jak wypchany słomą, i sam jechał po ziemi, zdawał się czynić wszystko, żeby oszczędzić trudu panom żołnierzom. Porzucili go pod płotem i kłócili się przez krótką chwilę.

— A mówiłem, żeby nie dawać przybłędom! Z Parfienówki go tu przyniosło — a ten idjota — daj

mu co, bo chory.... Na litość mu się zebrało — teraz masz...

— Co mam? W ..... go mam!

— Sam ty idjota. Każdy dureń wie, że takie rollmopsy mogą zaszkodzić po tyfusie...

— Jak już dawać, trza mu było dać angielskiej gorzkiej i kawałek szynki z dzika...

— Ja mu jeszcze będę wybierał delikatesy, psia jego mać....

— O patrzajcie „Byś" adjutanta, jak wrócił sam.. Hahahaha!...

— Byś... Byś... Hola... hola!

— To się popili, sam Puzo leży w sieni i stęka, jak knur.

— Cicho no! Co to takiego?...

Chłopcy przystanęli, nasłuchując — od pożaru dochodziły odgłosy znajome, charakterystyczne, nieomylne. Odległość tłumiła i zacierała ostrość pojedyńczych wyprysków; chwilami cichło, to znów zaterkotało i urywało. I nagle strzelanina zawrzała na dobre, zakipiała, prując powietrze niespokojnym, nieprzerwanym, natarczywym, z każdą chwilą wzmagającym się ogniem dalekiej bitwy.

Z chałupy już wysypywali się oficerowie, stali w gromadzie, i nakazując sobie nawzajem ciszę, karcąc się za każde słówko, nasłuchiwali w natężeniu. Pracowali wyobraźnią, zgadywali, spoglądali po sobie osłupiałemi oczami, i potrosze trzeźwieli. Otrząsali się, jak ze snu. Już djabli brali sielankę wesołej uczty, kawalerskiej ochoty. Wraz z nikłym zmierzchem już majaczącego brzasku, zewsząd ze wszystkich kątów, wyzierał ponury, zły realizm życia. Ogarniało ich zimnym, dreszczem, już budziło wolę, już chwytało za nerwy zapomniane tchnienie wojny, jej niespodziane widmo.

— Masz zawieszenie broni....

— A to dranie...

— Skandal!

— Skandal, panowie, bo to my powinniśmy byli zacząć! Zawsze mówiłem, że nic z tego nie będzie...

— Dobrze jest! Teraz mamy powód, czyli nie my, bo nam tego nie było trzeba, tylko te z..... .... dyplomaty. Teraz, jazda panowie na całego!

— Naprzód całym frontem — na Mińsk!

— Nic z tego... To jakaś banda, podpalaczedywersanty...

— Cicho no...

— Tsss...

— Oj jak kropią... Kuso będzie panowie z waszym trzecim szwadronem....

— Jednak trochę głupio wypadło, że tam nie było na tę porę żadnego oficera...

— A tu nasz Puzo...

Wszyscy miejscowi oficerowie byli już w ruchu. Komendę objął najstarszy w pułku rotmistrz Zakwaski, o niezbyt tęgiej głowie, który przez to jednak, zwalony z nóg jeden z najpierwszych, zdążył wyspać się parę godzin. Rozkazy rzucał hucznie i z humorem, niezmiernie rad całej awanturze. Goście zaczęli się oglądać za swoimi końmi, opatrywać broń podręczną. Kuchmistrz klęczał nad stękającym pułkownikiem i trzeźwił go odwieczną niezawodną metodą sławnej armji rosyjskiej — wodą sodową z amonjakiem. We wsi gwałt i alarm. Żołnierze wybiegali z chałup, ze stodół, z obórek, ze świronków — krzyki podoficerów, tupotanie wyprowadzanych koni, zgiełk, swary i przekleństwa przy siodłaniu na alarm... Bezładna bieganina, szukanie po wszystkich dziurach zagubionych gdzieś rzeczy, ładownic, derek, obergurtów, szabel, gorączkowe troczenie siodeł... Żołnierze poganiani bez miłosierdzia, uwijali się, jak w ukropie, nie mogąc się jeszcze opamiętać, że to naprawdę znowu zaczyna się wojna. Że wnet porzucą ciepłe kwatery, gdzie mieli spędzić zimę i pójdą znowu het, za wojną w niewiadomy szeroki świat na niepewne, na ten mróz, na psią żołnierską poniewierkę.

Już im ktoś zabrał marzenie o powrocie do domu, o spokojnem, bezpiecznem, o ludzkiem życiu. Wydarci ze snu, oderwani od tego, co było jeszcze przed chwilą pewne i wiadome, zawiśli jakby poza sobą, zatracili się w pośpiechu i krzątaninie, sami nie wiedząc, co robią. Ale już w młodych oczach zaczynały przebłyskiwać iskry unesienia, młode rysy twardniały i stygły w zapamiętaniu wojny. Wnet zapomną o sobie i o wszystkiem w nowych kolejach i przygodach swojego tułactwa, w napięciu i grozie walki. Na nowo stawała przed nimi, jak nieodstępny towarzysz i cień, wizja śmierci, zagubiona, zda się, już na zawsze...

Adjutant Braun, którego fatalnie „rozebrało" na mrozie, zwaliwszy się z konia na końcu wsi, podczołgał się do studni i kazał sobie lać wodę na łeb. Po wychlustaniu paru wiader lodowatej wody, powstał raźnie i zarządził nagwałt budowanie zasieki, waląc na jedną kupę wszystko, co tylko wpadło pod rękę. Wsadził karabin maszynowy na dach, drugi postawił i zamaskował na uboczu o staję w polu, żeby nie dać dostępu do Sitowicz. Zalany kożuszek wnet okrył się na nim skorupą lodu, w głowie łupało jak młotem, ale humor wrócił. Ujrzawszy w okienku trupią wystraszoną twarz doktora, nałgał mu na poczekaniu stek najokropniejszych wieści i nakazał natychmiast zakładać punkt opatrunkowy, bo już niosą rannych. W istocie był rad, że nareszcie coś się stało i gotów był walić zaraz z miejsca na najgrubszą awanturę — z dyrekcją na Moskwę.

* * *

Z poza lasu majaczył na bielejącem niebie szeroki słup dymu. Zmilkły dalekie strzały.

Łuna porożowiała, przybladła. Rozwidniało się z trudem pod nisko wiszącemi chmurami, pierwsze płatki śniegu padały ciężko, szybko, cicho. Z obu stron wsi rozwijała się tyraljera szerokim łukiem aż do samego jeziora, które ścięło się tej nocy pierwszym lodem.

— No, wiesz co, Braun....

— Aha — jesteś, dobrze. Melduję ci, żem postawił tymczasem dwa karabiny maszynowe i pchnąłem naprzód dwa spieszone plutony... Konie w pogotowiu... Co dalej?

— Straszneśmy się zbłaźnili. Piechociarze pokładają się ze śmiechu, a ja poprostu uciekłem... . Ale nasz Puzo pokazał, co umie, mołodiec!...

— Słuchajno, gadaj tak, żeby można było coś zrozumieć! O co ci chodzi?

— Jeszcze nie rozumiesz? Hahaha!...

— Nie rozumiem, do trzystu djabłów, nie rozumiem i już!

— Puzo, jak tylko się opił swojego amoniaku — nikt, jeno taki byk mógł to wytrzymać — zaczął nadsłuchiwać i on pierwszy odgadł, co się dzieje, a piechociarze teraz się stawiają i blagują, że oni odrazu... Chłopcy, złazić mi z dachu! Wachmistrz Kapuściński!

— Jest!

— Szwadron zbiórka! Wszyscy do koni i rozsiodływać.

— Rozkaz, panie rotmistrzu!

(D. c. n.)

6)

WSPÓLNIK

Cloete był jak nieżywy — nie dbał już o nic. Pozwolił Stafford'owi uszczypnąć się dwa razy w ramię, nie dając znaku życia. Prawie wszyscy mieszkańcy Westport'u zgromadzili się na molo, aby zobaczyć wyratowanych marynarzy, wysiadających z łodzi. Gdy łódź przybiła do brzegu, przywitał ich radosny gwar, lecz gdy retman zawołał coś, głosy umilkły i wszyscy spoważnieli. Cloete, poczuwszy stały ląd pod nogami, odrazu powrócił do siebie. Retman uścisnął mu ręce. „Biedna kobieta, biedna kobieta; cieszę się, że ten obowiązek spadł na pana, a nie na mnie".

„Gdzie starszy oficer?" zapytał Cloete. „On ostatni rozmawiał z kapitanem". Ktoś pobiegł za nim wzdłuż molo, gdyż załogę prowadzono już do Mission Hall, gdzie przygotowano ogień na kominie i posłania. „Hej! tam! agent właściciela statku wzywa was". Cloete ujął Stafford'a pod ramię i, pociągnąwszy go za sobą w lewo, w stronę rybackiego portu, rzekł mu: „Zdaje mi się, że zrozumiałem pana. Pan chciałby, abym się nim zajął. Stafford oparł się ciężko na jego ramieniu i, uśmiechnąwszy się złośliwie, mruknął. „Zapewne, tak będzie lepiej. Ale niech się pan nie wykręca, jesteśmy już na lądzie".

„Posterunek policji jest o pięćdziesiąt kroków stąd", odparł mu na to Cloete, wchodząc do niewielkiego baru i popychając Stafford'a w głąb korytarza. Gospodarz wybiegł z za bufetu. „Oto oficer z tego rozbitego statku", objaśnił go Cloete. „Chciałbym, aby się pan nim zajął". „A co mu jest?" — zapytał gospodarz. Stafford oparł się o ścianę w korytarzu blady, jak upiór. Cloete wyjaśnił mu, że to nic ważnego, oficer jest tylko wyczerpany i dodał: „Ureguluję wszelkie wydatki, jestem agentem właściciela statku. Powrócę tu mniej więcej za godzinę, aby zobaczyć, co się z nim dzieje".

Cloete powrócił do hotelu. Doszły już tam wieści o statku; przed hotelem oczekiwał George, blady jak płótno. Cloete skinął na niego i weszli do środka. Żona kapitana stała w górze schodów; gdy ujrzała, że to tylko oni dwaj, podniosła ręce do góry i uciekła do swego pokoju. Nikt nie ośmielił się jej powiedzieć prawdy, ale domyśliła się, nie widząc męża. Cloete usłyszał okropny krzyk: „Niech pan pójdzie do niej", rzekł do George'a.

Gdy pozostał sam w prywatnym salonie, wypił szklankę wódki i zaczął rozmyślać nad całą tą sprawą. George wrócił. „Gospodyni z nią została", rzekł; począł chodzić po pokoju tam i zpowrotem, mówiąc bez związku i gestykulując; twarz jego miała wyraz tak twardy, jakiego Cloete przedtem nigdy nie widział. „Co się stało, to się nie odstanie. Mój jedyny brat nie żyje! Nie żyje — skończone wszystkie jego kłopoty. Lecz my żyjemy", zwrócił się do Cloete'a z oczami, które płonęły, lecz były zupełnie suche. „Przypuszczam, że pan nie zapomni zatelegrafować rano do swego przyjaciela, aby go powiadomić o naszem przystąpieniu do tego interesu".

Myślał o fabrykancie patentowanych środków lekarskich. „Kto umarł nie ożyje, a interes jest interesem", mówił dalej George, wyciągając dłonie do Cloete'a: „Spójrz na moje ręce: są czyste". „Zwarjował", pomyślał Cloete i, schwyciwszy go za ramiona, potrząsnął nim silnie, wołając: „Gdybyś, psiakrew, miał odwagę otwarcie pomówić z twym bratem; gdybyś był wiedział, co mu powiedzieć, to brat twój, ty moralisto, żyłby teraz jeszcze".

George, usłyszawszy te słowa, wlepił w niego oczy, a potem wybuchnął głośnem łkaniem. Rzucił się na łóżko i, ukrywszy twarz w poduszkę, szlochał, jak małe dziecko. „Tak jest lepiej", pomyślał Cloete i pozostawił go samego. Gospodarzowi powiedział, że wychodzi, gdyż dziś wieczorem jeszcze musi załatwić pewne drobne sprawy. Gospodyni, zalana łzami, zatrzymała go na schodach: „Panie, och, panie! ta biedna kapitanowa zwarjuje z pewnością".

Cloete pozbył się jej szybko i pomyślał. „Nie, ona nie zwarjuje. Opanuje się. Nikt z powodu całej tej sprawy nie zwarjuje, chyba ja jeden. To nie nieszczęścia doprowadzają ludzi do warjacji, lecz — troski".

Ale Cloete pomylił się. Kapitanową najboleśniej dotknęło to, że mąż jej odebrał sobie życie, gdy ona patrzyła na niego. Tak ją ta myśl dręczyła, że w niespełna rok potem musiano ją oddać do zakładu. Była najzupełniej spokojna: uległa łagodnej melancholji. Żyła jeszcze bardzo długo.

Cloete brnął wśród deszczu i wichury. Na ulicach pustki — podniecenie już minęło. Właściciel baru wybiegł na jego spotkanie aż na korytarz i rzekł: „Nie tędy. Niema go w pokoju. Nie mogliśmy go namówić, aby się położył. Jest w małej salce. Zapaliliśmy mu ogień na kominie". „I daliście mu się czegoś napić", dodał Cloete „zaznaczam, że nie obiecywałem płacić za napitki. A dużo tego wypił?" „Dwa kieliszki", odparł gospodarz. „Mniejsza z tem i ja też mogę coś zrobić dla tego biednego rozbitka!" Cloete uśmiechnął się dziwnym uśmiechem. „He! he! pewnie sam już zapłacił?" Gospodarz mrugnął okiem. „Zapłacił złotem? Co? Wygadajże się". „Co to pana obchodzi? A chociażby!" wołał gospodarz. „Wydałem mu resztę, jak się należy".

„No, już dobrze", uspokoił go Cloete. Wszedłszy do salki, ujrzał Stafford'a, siedzącego przed ogniem, z włosami w nieładzie, w koszuli i spodniach gospodarza w pantoflach na bosych nogach. Gdy ujrzał Cloete'a, spuścił oczy:

„Pan nie przypuszczał, zapewne, że się jeszcze kiedy spotkamy", rzekł skromniutko Stafford. Gdy podpił sobie trochę (nie był jednak pijakiem), przemawiał zwykle nieśmiało i skromniutko. „Od chwili, gdy kapitan popełnił samobójstwo", ciągnął dalej, „siedzę tu i rozmyślam o tem wszystkiem".

„Wydarzyły się różne rzeczy: Spisek na zgubę statku, usiłowanie morderstwa i wreszcie to oto samobójstwo! Gdyby nie było tego samobójstwa, panie Cloete, to wiem, ktoby się stał ofiarą okrutnego, popełnionego na zimno morderstwa; ktoś, kto tysiąckrotnie przecierpiał męki konania. Wobec tych cierpień suma tysiąca funtów, o której mówiliśmy kiedyś, wydaje się zupełnie znikomą. Niech się pan zastanowi, jak w porę zdarzyło się to samobójstwo!"

Podniósł oczy na Cloete'a, który uśmiechnąwszy się, zbliżył się do stołu:

„Tyś zabił Harry'ego Dunbar'a", szepnął. Stafford rzucił na niego straszne spojrzenie i pokazał zęby. „Naturalnie, że to ja go zabiłem! Siedziałem w kajucie przez półtorej godziny, jak szczur w pułapce... Zamknięty i skazany na zatopienie wraz

z całym statkiem. Niech mnie sądzi krew i ciało. Zastrzeliłem go! Myślałem, że to ty, podły morderco, powracasz, aby mnie dobić. Otworzył drzwi raptownie i zwalił się prosto na mnie. Miałem rewolwer w ręku, więc go zastrzeliłem. Byłem szalony. Ludzie szaleją z mniejszych powodów".

Cloete spoglądał na niego bez mrugnięcia. „Acha! więc to taką historyjkę wymyśliłeś?" I w pasji potrząsnął stołem. „A teraz posłuchaj mnie. O jakim spisku opowiadasz? Kto tego dowiedzie? Znajdowałeś się w kajucie, aby kraść. Grabiłeś jego kajutę. Zaskoczył cię niespodzianie, gdy przeszukiwałeś szuflady, a ty zastrzeliłeś go własnym jego rewolwerem. Zabiłeś, aby ukraść; tak, aby ukraść. Brat jego i urzędnicy z biura wiedzą, że zabrał ze sobą sześćdziesiąt funtów w złocie, w płóciennym woreczku. Powiedział mi, gdzie się znajdują. Retman może przysiąc, że szuflady zastaliśmy puste. A ty, głupcze, w pół godziny po wylądowaniu płacisz złotem za kieliszek wódki. Posłuchaj! Jeśli pojutrze nie pójdziesz do adwokata George'a Dunbar'a, aby złożyć odpowiednie zeznanie, co do rozbicia statku, wydam cię policji. Rozumiesz? pojutrze!"

I co pan myśli, że się stało? Pewnie, że Stafford wyrywał sobie włosy. Tak też było. Wyrywał je obiema rękami, milcząc. Cloete pchnął stół tak silnie, że Stafford omal nie spadł z krzesła; potoczył się i musiał schwycić się kraty przed kominkiem, aby nie wpaść w ogień.

„Wiesz, jakiego rodzaju jestem człowiekiem", rzekł Cloete z wściekłością. „Doszedłem do tego, że nie dbam o to, co mi się zdarzy. Zabiłbym cię teraz z byle jakiego powodu."

Usłyszawszy to, łotr ten skrył się pod stołem. Cloete wyszedł, — panowały zupełne ciemności, deszcz lał, jak z cebra, pan to sobie wyobraża, prawda? Gdy znalazł się na uliczce, wśród maleńkich domków rybackich, nagle Stafford otworzył okno baru i zawołał płaczliwym głosem:

„Ty podły, amerykański djable! Poczekaj! zapłacę ci jeszcze za to!"

Cloete poszedł dalej, śmiejąc się gorzko, gdyż pomyślał, że łajdak ten nie wie, jak mu już zapłacił.

Mój imponujący łotr wypił resztę piwa, spoglądając ku mnie z ponad szklanki czarnemi, zapadłemi oczami.

— Niezupełnie to rozumiem, — zapytałem. — W jakiż mu sposób zapłacił?

Przeciągnął się zlekka i wytłumaczył mi, nie irytując się zbytnio, że po śmierci kapitana połowa sumy asekuracyjnej przypadła jego żonie, której opiekunowie zakupili za te pieniądze państwowe papiery procentowe, aby osiągnąć tylko tyle, ile było potrzeba dla zapewnienia jej koniecznego komfortu. Połowa sumy, która przypadała na George'a, nie wystarczyła, jak obawiał się tego Cloete, dla zareklamowania patentowanego środka. Inni kapitaliści przystąpili do spółki, a Cloete i George musieli z niej wystąpić, straciwszy prawie wszystko.

(Dok. nast.)

Ruch wydawniczy

PAMIĘTNIK Z WYGNANIA PODCZAS WIELKIEJ WOJNY

Niedawno omawialiśmy tom I „Pamiętnika z wielkiej wojny", opublikowanego przez p. Władysława Glinkę, ziemianina z pod Ostrołęki. Teraz ukazał się tom drugi. Zawiera wspomnienia od d. 20 września 1915 r. do 26 czerwca 1917. Są one zdawałoby się niedawne, a jednak czas starł już z pamięci wiele faktów, które powinniśmy stale mieć przed oczami. P. Władysław Glinka jako pamiętnikarz jest bezstronny; nie angażuje się w żadną orjentację. Dobrze też świadczy o jego kulturze wewnętrznej, że nie podaje się za proroka politycznego. W miarę rozwoju wydarzeń notuje przesunięcia swoich opinji. Mimo tych ewolucyjnych poglądów jest on zawsze czujnym polakiem. Zna linję demarkacyjną między godnością a taktyką polityczną. Nieomylny jest dlatego w swoich sądach o rzeczach dużej wagi, bo dotyczących losu narodu. Tradycja państwowości polskiej jest w nim niewyrozumowana. Pochodzi z tej warstwy ludzi, którzy ongiś za czasów przedrozbiorowych rządzili Rzeczypospolitą. Reaguje też mocno na różne posunięcia polityczne, sprzeczne z godnością narodu o historycznej bogatej przeszłości. Pamiętnik jego z tego względu dla przyszłych pokoleń będzie nieocenionym dokumentem. Faktów nie przyćmi się wykrętną kazuistyką polityczną. Pozostaną one ku wstydowi naszych czasów. Na wygnaniu nie wszyscy bowiem potrafili godnie reprezentować słuszne nasze prawa narodowe. P. Wł. Glinka przypomina, iż „Gazeta Polska", dziennik wychodzący w Moskwie, na wieść o żądaniu, przez pewne sfery polityczne niepodległości dla naszej ojczyzny wydrukował znamienny frazes: „rozbałamucili się polacy i zachciewa się im coraz więcej". „Gazeta Polska" uważała, iż autonomja pod berłem carów jest szczytem mądrej, przewidującej polityki.

„Gazeta Polska" jeszcze długo sądziła, że niepodległość naszego narodu jest .....„pustym dźwiękiem bez treści" (Str. 142). P. Wł. Glinka fakty te notuje nie przez niechęć polityczną do ludzi czy stronnictwa. Z wieloma czołowymi politykami tego odłamu opinji pozostawał w bliskich stosunkach, współpracował w komitetach opieki nad wychodźcami. Utrwalił ich stosunek do rzeczywistości na wieczną rzeczy pamiątkę; niech potomność osądzi, kto reprezentował godność narodu, a kto usiłował kiepską taktyką ratować brak zrozumienia powagi chwili dziejowej.

Pamiętnik p. Władysława Glinki jest też kopalnią faktów z dziedziny życia wogóle naszego uchodźtwa w Rosji. Niektóre utrwalone wydarzenia bielą włos na głowie: wtedy uchodźcy nasi codziennie ocierali się o te tragiczne fakty. I to dla przyszłości będzie ważnem pouczeniem. Moskale wygnali naszą ludność z domostw, a później patrzyli dosyć biernie na niedolę, poniewierkę i nędzę. Warto pamiętnik p. Wł. Glinki przeczytać i pomyśleć nad nim. Niech doświadczenie tych tragicznych lat wojny nie przejdzie bez pożytku dla naszej świadomości.

F.

OD WISŁY DO MARICY

Współczesna Bułgarja i jej stosunek do Polski nie są tak znane, jak wymagałby tego nasz interes narodowy. Bułgarja po wojnie znalazła się w warunkach smętnych. Terytorjalnie uszczuplono jej granice, wewnętrznie wskutek tarć politycznych rozdrobniono siły. Poprawa stosunków nastąpiła po usunięciu rządów Stambolijskiego. Teraz pod światłem kierownictwem Cankowa Bułgarja z miesiąca na miesiąc odzyskuje dawną swoją wewnętrzną spoistość, gospodarczo rozwija się i zdobywa rynki zbytu na tytoń i inne surowce swojej produkcji.

Towarzystwo polsko-bułgarskie wydało w Warszawie interesujący rocznik p. t. „Od Wisły do Maricy", służący sprawie zbliżenia przez informacje społeczeństwa naszego do spraw bułgarskich. Rocznik ten jest bardzo pożytecznem wydawnictwem. Ukazuje nam Bułgarję współczesną pod każdym względem. Polityk, działacz kulturalny, pedagog, geograf, ekonomista, literat znajdą w tej książce materjał pierwszorzędny, bo pochodzący ze źródła. Wzruszająco pisze o pięknie Bułgarji prof. A. Iszirkow. Słowa jego budzą chęć poznania tego malowniczego kraju. Stosunki polityczne rzeczowo przedstawia p. Niklastanew, M. W. Madżarow, poseł T. Grabowski. Zagadnienie macedońskie, żywo obchodzące Bułgarję ze strony faktycznej, ukazał p. T. Karajowow. Nas polaków sprawa ta winna zaciekawić. Jest ona kością niezgody między Serbją a Bułgarją. Nasze sympatje dla obydwóch narodów pobratymczych winny nas skłonić do szerszego przestudjowania tej drażliwej kwestji.

W literackiej części rocznika zamieszczono w polskim przekładzie wyjątki z pism D. Sziszmanowa, J. Jowkowa, N. Teodorowa, Penczo Sławejkowa. Kilka słów o pisarzach bułgarskich dał dr. Józef Gołąbek. W książce tej znajdujemy również ciekawe informacje o działalności tow. bułgarsko-polskiego i polsko-bułgarskiego. Rocznik ten powinien dobrze zasłużyć się sprawie zbliżenia naszego narodu do społeczeństwa bułgarskiego.